

Niebezpieczny trend

Piotr Skweciński

Pasmo naiwnie prorosyjskich wypowiedzi Kornela Morawieckiego można by zlekceważyć, ale nie da się tak zrobić, bo wpisuje się ono w pewien szerszy trend.

1. Kornel Morawiecki nie jest politykiem bardzo znaczącym. Jest wiekowym, niekontrolowanym przez nikogo ekstrawagantem. Nie należy też do partii rządzącej.

Ale zarazem przyszedł do Sejmu jako działacz ugrupowania będącego obok PiS swego rodzaju drugim, mniejszym elementem obozu IV RP. I choć z klubu kukizowców wystąpił, pozostaje w oczach niektórych czymś w rodzaju ponadpartyjnego autorytetu całej czwartorzeczpospolitańskiej formacji. Był też marszałkiem seniorem, co mniej znających się na naszej polityce skłania do traktowania go jako kogoś bardzo ważnego. No i – last but not least – jest ojcem premiera.

Te okoliczności pozwalają mającym złą wolę lub po prostu niedostatecznie orientującym się w sprawach polskich obserwatorom zagranicznym przedstawiać jego wypowiedzi jako przejaw poglądów oficjalnej Warszawy albo jako nieoficjalne wysyłanie przez nią balonów próbnych – zakamuflowanych politycznych ofert pod adresem Moskwy. Opozycyjni politycy i internauci tak też je prezentują. I trudno się temu dziwić, bo gratka trafiła im się niesamowita.

Ale to i tak jeszcze najmniejsza z wyrządzonych przez Morawieckiego szkód.

2. Do opisania wszystkich karkołomnych naiwności, którymi przepełnione są wywiady Morawieckiego seniora, po prostu trudno znaleźć adekwatne słowa. Trzeba jednak zacząć od tego, że już sama decyzja o krytykowaniu polskiego rządu za stan relacji z Rosją akurat na łamach rosyjskiej agencji informacyjnej dyskwalifikuje go jako polityka. To samo można powiedzieć o krytykowaniu (skądinąd merytorycznie całkowicie słusznym) akurat na tychże łamach polityki historycznej rządu Ukrainy.

A co do merytorycznej zawartości obu wywiadów, to doprawdy nie wiadomo, od którego kuriozum zacząć. Nie znęcając się zbytnio nad Morawieckim, zasygnalizujmy tylko kilka najważniejszych.

Były lider Solidarności Walczącej całkowicie lekceważy np. kwestie bezpieczeństwa energetycznego i wyraźnie nie widzi nic niepokojącego w sytuacji uzależnienia Polski od jednego – rosyjskiego – dostawcy. Obecną Rosję nazywa państwem demokratycznym. „Czym rosyjska demokracja odbiega od zachodnich standardów?” – pyta retorycznie. I jakoś nie przychodzi mu do głowy, iż może tym, że w Rosji przeciwnik rządu może zostać wsadzony do więzienia lub zabity

przez wynajętych nie wiadomo przez kogo Czeczenów.

Lejtmotywem moskiewskiej polityki wobec Europy Zachodniej było przez lata proponowanie jakiejś formy związku między tąż a Rosją, co oczywiście musiałoby się łączyć z destrukcją zachodnich struktur bezpieczeństwa. Nie wiem, czy Morawiecki w ogóle o tym wie, ale świadomie czy nie wychodzi tym planom naprzeciw; snuje wizję „odzyskania przez Europę mocy” poprzez „połączenie się z Rosją”. Łagodzi tę wizję wprawdzie chytrenkim zastrzeżeniem, że „to powinna być po prostu Unia Europejska, z Rosją w składzie”. Pomijając już nie najmniej jednak ważny fakt, że Rosja do Unii przystąpić nie chce, gdyż sama postrzega się jako co najmniej jej równoważny odpowiednik, to jak Morawiecki wyobraża sobie funkcjonowanie w UE zupełnie niekompatybilnego z nią pod żadnym względem giganta z kolosalnym wsadem państwowej korupcji? A, prawda, zapewne bez kłopotów, bo przecież „czym rosyjska demokracja odbiega od zachodnich standardów?”...

3. W kwestii ukraińskiej Morawiecki reprodukuje rosyjską narrację o „w pewnym sensie wojnie domowej” i o „obaleniu demokratycznie wybranego prezydenta Janukowycza”. Krytykuje kijowskie władze (dobrze, że przynajmniej nie pada zwrot „kijowska junta”) za politykę ograniczania dominacji języka rosyjskiego. Jego zdaniem przeciw temu powinna protestować... Polska. Ale tego nie robi. Zapewne dlatego, że jest (to już z wywiadu z „Do Rzeczy”) „marionetką Waszyngtonu”. Dosłownie tak.

A Rosja po prostu „nie prowadzi polityki agresywnej”. W ogóle. Ukraina? Marszałek senior stawia znak równości między moskiewską interwencją, bez której separatyzm rosyjskojęzycznej części Donbasu nie przyjąłby zdecydowanej i zbrojnej formy, a pomocą Zachodu dla będącej przedmiotem agresji Ukrainy.

Polskie media i polskie elity zaś bez przerwy jego zdaniem szczują Polaków na Rosję. Morawiecki zastrzega, że podobnie jak ich rosyjskie odpowiedniki szczują Rosjan na Polaków. Wynikałoby z tego, że marszałek senior wyobraża sobie, iż zjawiska, o których mówi, są do siebie porównywalne co do natężenia i co do stopnia oderwania się obu narracji od rzeczywistości, nie wie natomiast nic o sile putinowskiej maszyny propagandowej.

4. Nie wszystko z tego, co mówi Morawiecki, jest absurdalne. Bardzo słuszne jest np. podkreślenie przez niego, że „Armia Czerwona uratowała nas przed zagładą biologiczną, Niemcy chcieli Polaków wymordować, Rosjanie – »tylko« zniewolić; to jednak zasadnicza różnica”, w Polsce obecnie wielu nie chce dostrzec tej oczywistości.

Cóż, kiedy Morawieckiemu służy ona do uzasadniania sprzeciwu wobec demontowania stojących w naszym kraju radzieckich pomników. Ja osobiście od lat 80. ochłodłem i nie budzą one już moich emocji, ale ponieważ wielu moich

rodaków nadal postrzega je jako poniżający symbol obcej dominacji, nie mam nic przeciw zapewnieniu im poczucia, iż po tej dominacji nie ma już śladu, drogą demontażu rosyjskich monumentów. Marszałkowi seniorowi takie myślenie jest jednak najwyraźniej obce.

Zresztą również niektóre z cytowanych powyżej myśli Morawieckiego nie są do końca absurdalne i można by o nich dyskutować. Sęk w tym, że są zarazem całkowicie sprzeczne z polską racją stanu, wymagającą w pewnych obszarach jednoznaczności. A polityk, i to postrzegany w pewnym sensie jako przedstawiciel obozu rządzącego, tym różni się od publicysty, analityka czy eksperta, że nie może pozwalać sobie na publiczne mówienie wszystkiego. Morawiecki ewidentnie nie jest w stanie tego zrozumieć.

5. Morawiecki ma słuszość, gdy mówi, że Rosja „nie ma żadnego interesu w tym, żeby użyć siły militarnej przeciwko Polsce”. Ewidentnie jednak nie rozumie, że rejestr zagrożeń nie ogranicza się do tych bezpośrednio wojskowych. I odmawia przyjęcia do wiadomości czegoś tak banalnego jak to, że Moskwa, na miarę swoich sił, próbuje odbudować własną sferę wpływów, której upadek Związku Radzieckiego jej w dużym stopniu pozbawił.

Ma rację, gdy wyraża żal, że relacje polsko-rosyjskie są upiornie złe. Oczywiście byłoby ze wszech miar lepiej, gdyby się poprawiły. Żeby się przynajmniej ucywilizowały. Złe stosunki z kimkolwiek, a zwłaszcza z potężnym sąsiadem, nikogo nie cieszą. A ja nie zaliczam się do tych Polaków, którzy skłonni są kultywować rodzaj antyrosyjskiego mistycyzmu, polegającego na czymś w rodzaju przekonania, że antagonizm z Moskwą jest kamieniem węgielnym polskości. Tak nie jest. Co więcej – takie myślenie jest podświadomą próbą leczenia własnych kompleksów, związanych z niesatysfakcjonującym nas międzynarodowym znaczeniem Polski. Że niby tak naprawdę to jesteśmy bardzo ważni, bo od pokoleń stale walczymy z czymś, podobno, najgorszym na świecie.

6. Sceptycyzm wobec narodowego mistycyzmu, postrzegającego polsko-rosyjski antagonizm jako nieledwie najważniejszy w skali świata przejaw odwiecznej bitwy Dobra i Zła oraz czyniący w związku z tym z naszego kraju centralny punkt na eschatologicznej mapie planety, to jednak jedno. Natomiast dostrzeżenie, że ów antagonizm rzeczywiście istnieje, a co więcej – ma strukturalną naturę, to drugie.

To jest antagonizm strukturalny i immanentny, bo niemożliwy do zlikwidowania, jeśli jedna ze stron nie zmieni całkowicie swojej percepcji rzeczywistości, wizji własnego miejsca w świecie i własnych interesów. Rosja uważa status imperium za przynależny jej z natury, a podstawowym wyznacznikiem tego statusu miałyby być rozciągnięcie realnej (co nie musi znaczyć: formalnej) władzy Moskwy co najmniej aż do zachodniej granicy by-

łego ZSRR. Polska zaś ma na tym terenie własne ambicje. A choćby ich nie miała, to i tak czułaby się zagrożona taką perspektywą.

I z tych ambicji, i z poczucia zagrożenia wynika konieczność wspierania realnej niepodległości krajów leżących pomiędzy Polską a Rosją. Nie tylko po to, żeby rosyjskie wojsko nie stanęło na Bugu. Przede wszystkim dlatego, że reintegracja państw-limotrofów (limotrofy, czyli „graniczące z”; tak w Cesarstwie Rzymskim nazywano obszary graniczne, które musiały utrzymywać stacjonujące na ich terytorium rzymskie legiony; rosyjska myśl polityczna tradycyjnie określa tak kraje, które w 1917 i 1991 r. oderwały się od imperium) oznaczałaby odtworzenie potencjału, który zjednoczony tworzyłby na obszarze Europy Środkowo-Wschodniej przewagę po prostu druzgocącą.

A porozumienie polsko-rosyjskie musiałoby oznaczać realne wycofanie naszego wsparcia dla niepodległości limotrofów. I to jest pierwsza przyczyna, dla której pomysły dokonania jakiejś zasadniczej zmiany w relacjach między Polską a Rosją są i naiwne, i szkodliwe.

7. Druga zaś to charakter obecnej i formy rosyjskiego bytu państwowego.

Rosja, powtarzam to raz jeszcze, Polski oczywiście nie podbije – ani może, ani chce to zrobić – ale siła jej pieniędzy jest ogromna. Do rangi jednego z największych sukcesów, odniesionych przez polską państwowość po 1989 r., zaliczam niedopuszczenie na teren Rzeczypospolitej niemal jakichkolwiek większych inwestycji rosyjskich. A Rosjanie parokrotnie, ostatnio najpierw na początku lat dwutysięcznych, a potem w czasie zarządzanego przez Donalda Tuska „resetu”, bardzo chcieli tu wejść, z całą mocą swoich pieniędzy. Gdyby im się to udało, zyskaliby potężne instrumenty, pozwalające im na skuteczne korumpowanie (i w sensie dosłownym, kryminalnym, i szerszym – politycznym) polskich elit medialnych, politycznych, eksperckich.

Obawiałbym się podwójnego efektu zainicjowanych w ten sposób procesów. Tego bardziej bezpośredniego, politycznego i przez Kreml zamierzonego, polegającego na uzależnieniu od Moskwy ważnych wewnątrzpolskich ośrodków wpływów. I bardziej pośredniego, przez nikogo niezamierzonego, ale szerszego – degeneracyjnego oddziaływania tych procesów na polską tkankę gospodarczą i społeczną, niezwiązanego już wyłącznie z Rosjanami, sferami ich ekspansji i ich w Polsce działalności. Po prostu impuls psucia byłby tak silny, a przykład tak zaraźliwy, że jego efekt rozszedłby się szerzej.

A przecież wszelkiego rodzaju pomysły na dokonanie jakiegoś przewrotu w relacjach polsko-rosyjskich, gdyby ta zmiana była szeroka i trwała, muszą mieć konsekwencje w dziedzinie gospodarki, muszą oznaczać szerokie wejście Rosjan do naszej ekonomii. Nie uważam, aby polskie struktury gospodarcze i polityczne potrafiły to wytrzymać.

Kornel Morawiecki najwyraźniej tego wszystkiego po prostu nie widzi.

8. Na ciąg przedziwnych wypowiedzi marszałka seniora można byłoby machnąć ręką, gdyby nie to, że wpisują się one w pewien trend szerszy, a zarazem pojawiają się na specyficznym tle. Ten szerszy trend to postępujący od kilku lat proces kwestionowania paradygmatu o nadrzędnej dla polskiej polityki konieczności wspierania niepodległości limotrofów. Proces mający wiele przyczyn.

Jedną z nich jest wszechstronne rozczarowanie Ukrainą – zarówno w sensie nadziei na szybkie ukompatybilnienie jej do standardów zachodnich, jak i bijącej w polską wrażliwość polityki historycznej tamtejszych elit. Rozczarowanie, dodajmy, ze wszech miar uzasadnione.

Tylko że nawet słuszne emocje nie powinny wieść do działań autodestrukcyjnych. Zaś pogodzenie się z perspektywą powrotu w jakiejś formie Rosji do Kijowa (i, w jakiejś perspektywie, do Mińska) – a, choć polskie wsparcie nie jest decydujące dla udaremnienia tego powrotu, to jego wycofanie byłoby bez wątpienia krokiem w tym kierunku – to właśnie działanie autodestrukcyjne co się zowie.

Łączy się to często, choć nadal to sfera słabo cenzuralna, więc jasnych deklaracji w tej mierze jest mało, ale takie przesianie, nawet jeśli nie wprost, to przebija z wielu medialnych i internetowych deklaracji, z naiwnymi marzeniami o odzyskaniu Kresów i Lwowa. Przy czym jak miałyby wyglądać to odzyskanie, a przede wszystkim dalsze władanie tymi terenami w sytuacji, w której Polaków jest tam garsteczka (i to jest podstawowa różnica z zakarpaccimi Węgrami, którzy przy granicy ze swoją macierzą są wręcz w lokalnej większości, a na całym Zakarpaciu stanowią kilkanaście procent – to jest jedna z podstawowych różnic, wpływających na inną niż nasza politykę wschodnią Viktora Orbana), rewindykatorzy nie mówią.

Jest przy tym dla każdego rozsądnego człowieka ewidentne, że nastroje te są podsycane przez Rosję. Co oczywiście nie znaczy, aby każdy ulegający im gorąckowisty patriota był rosyjskim agentem. Ale jest jasne, że za kreującymi je inicjatywami stoją rosyjskie pieniądze.

9. Ta intuicja koreluje zresztą z wysyłanymi ostatnio pod adresem Polski oficjalnymi i nieoficjalnymi rosyjskimi sygnałami, które w ostatnich dniach pojawiają się ze sporą częstotliwością.

Mówię tu o zgodzie Komitetu Śledczego Federacji Rosyjskiej na przyjazd do Smoleńska polskich prokuratorów, mających zbadać na miejscu wrak polskiego tupolewa. Myślę o demonstracyjnie niezwykle surowym ukaraniu dwóch rosyjskich marynarzy, którzy w Świnoujściu sprofanowali pomnik Jana Pawła II. Ale też o kolejnych publikacjach odgrywanej na tamtejszym rynku medialnym dość istotną rolę, przy czym nacjonalistycznej i dotąd konsekwentnie antypolskiej agencji Regnum, sugerującej możliwość jakiegoś polsko-rosyjskiego porozumienia przeciw Ukrainie (i Białorusi traktowanej jako państwo

wyrywające się z moskiewskiej strefy wpływów oraz z „ruskiego mira”), a wręcz – wspólnego rozbioru tych krajów. Przy czym autorem jednej z tych publikacji jest sam Modest Kolerow – szef i właściciel Regnum, postać dość wpływowa. To ważne, bo to podkreśla znaczenie publikacji, która nie przestając być nieoficjalna i niewiążąca, zyskuje pewnego rodzaju kremlowski stempel.

O co tu chodzi?

Po pierwsze, o wbicie dodatkowego klina między Polskę a Zachód (dodatkowego, bo relacje naszego kraju z Unią, ale w mniejszym zakresie również i ze Stanami są pogorszone z racji realizowania przez Warszawę nieakceptowanej przez zachodnie elity linii w polityce wewnętrznej).

A po drugie, Moskwie idzie o wystraszenie Ukrainy (i Białorusi) wizją polskich terytorialnych rewindykacji. Przy czym, gdyby Warszawa zrobiła cokolwiek pozwalającego na taką interpretację jej stanowiska, Rosja rzecz jasna natychmiast spozycjonowałaby się jako słowiański, prawosławny obrońca Kijowa i Mińska przed „odradzającą się ekspansją zaborczych Lachów”. O to chodziło wtedy, kiedy Putin składał Tuskowi „żartobliwą” propozycję podziału Ukrainy (poinformował o tym Radosław Sikorski, potem sam siebie zdementował, ale doprawdy trudno przypuścić, by były minister spraw zagranicznych mógł coś takiego sobie ot tak wymyślić). I o to chodzi również dziś.

* * *

Kornel Morawiecki nie zauważa tego wszystkiego. Nie dostrzega tła, na którym udziela wypowiedzi. Tła powodującego, że – wbrew własnym, najszczerzym intencjom – ten bohater lat 80. po prostu szkodzi dziś Polsce. Co piszę z naprawdę ogromną przykrością.

Sieci, 6-12.08.2018